

Ucho: tak! – oko: taaak, ale

Adam Poprawa

Na początku lat 70. Barańczak zamieścił w krakowskim „Studencie” przekłady kilku piosenek Beatlesów, uznając ich teksty za „jedną z odmian współczesnej liryki”. Taka kwalifikacja zgorszyła pewnie niejednego spośród ówczesnych czytelników; aprioryczne hierarchie gatunkowe okazały się zresztą wcale trwałe, skoro zupełnie niedawno ten i ów kręcił nosem na Nobla dla Dylana. To jednak temat na inną okazję, tymczasem (a dokładniej: tamtym) Barańczak tłumaczył Beatlesów zgodnie z regułami przekładu poetyckiego, zachowując za oryginałem liczbę sylab i rozkład akcentów – tak aby polską wersję można było zaśpiewać. Nie omieszkał przecież dodać zastrzeżenia: „choć nikogo z profesjonalistów do tego [śpiewania] nie zachęcam: jestem zdania, że niepowtarzalny styl i koloryt Beatlesowskich nagrań nie da się ani podrobić, ani wyrugować bez szkody dla całości”. Można więc zaśpiewać, ale lepiej tego nie robić. Czyżby idealnym adresatem tamtych przekładów Barańczaka był kopista Bartleby? Owszem, tłumacz przestrzega przed – i tak niewykonalną – próbą imitacji Beatlesów, niemniej w domniemanym „wolałbym nie” kryje się niewątpliwie coś istotnego.

W zeszłym roku ukazał się przepiękny tom Stanisław Barańczak *słucha arcydzieł*, zawierający przekłady librett do oper Mozarta, Purcella oraz fragmentów *Pasji Mateuszowej*. Rzecz (w przypadku tego tłumacza) jasna nadająca się do wykonania wokalnego zgodnego z partyturami oryginałów. Jednakże Lektor Fiałkowski, anonsujący tę książkę z podziwem i wielkim wzruszeniem, zaczynając od wspomnienia pobytu u państwa Barańczaków w Newtonville, nie powstrzymał się od uwagi: „Nie wiem, czy chciałbym usłyszeć *Don Giovanniego* i *Figara* w języku innym niż włoski

– ale spolszczenia Barańczaka zachowują rytm oryginału i można je zaśpiewać!”. Choć też chyba raczej wolałby nie.

Inna rzecz, że w sfilmowanym przez Bergmana *Czarodziejskim flecie* Mozarta śpiewa się po szwedzku. Różnie więc może się zdarzyć, zasadniczo wydaje się jednak, że przekłady tekstów przymuzycznych, nawet w pełni powtarzające źródłową prozodję, są bardziej dokonaniem autonomicznymi niż tekstami do zaśpiewania, zwłaszcza w znaczeniu: zastąpienia wersji pierwotnej. Tłumaczenia „zwykłych” tekstów literackich są czymś „normalnym”, przekład piosenki zaś budzi coś w rodzaju zdziwienia, czy nawet oporu. Być może bierze się to stąd, że literaturę obcojęzyczną czyta się w oryginale rzadziej, niż słucha się (innojęzycznych) piosenek? Zatem wydają się one czymś zdecydowanie bardziej nienaruszalnym niż powieści czy (nieśpiewana) poezja. Jeśli ktoś tłumaczy teksty piosenek, to pozostaje w sferze *l'art pour lire*.

Ale zdarzają się przypadki szczególne. Filip Łobodziński wydał niedawno książkę *Duszny kraj*, spory wybór tłumaczeń Dylana, i podwójny album płytowy *dylan.pl*, z 29 piosenkami tegoż w wersji polskiej. I właśnie te dwa kompakty są czymś, by tak rzec, mniej problemowym. Tłumacz-wykonawca oraz jego zespół zaproponowali przekonującą estetycznie całość; tych nagrań dobrze się słucha. Zapewne również dlatego, że wokalista i muzycy nie próbują Dylana podrabiać. Jego – różne przecież – piosenki, z rozpoznawalną oczywiście muzyką, podporządkowane zostały stylistyce ekipy Łobodzińskiego. Owszem, kolejne ścieżki okazują się wystarczająco odmienne, niemniej nie jest to prostym następstwem zróżnicowania Dylanowskich płyt. Jeśli już porównywać *dylan.pl* do któregoś ze

składników wersji amerykańskich, to byłaby nim towarzysząca artyście w pewnym okresie grupa The Band. Nie mówię o podobieństwie stylistycznym, tylko o zasadach wspólnego grania i śpiewania: wielka muzykalność, znakomita współpraca i pozorna naturalność czy prostota proponowanej muzyki. Najkrócej: wdzięk i szwung.

Warto zwrócić uwagę na bezprecedensowe zjawisko w kulturze popularnej: otóż na okładce płyty (również z tyłu) próżno by szukać nazwiska lidera i inicjatora całego przedsięwzięcia. Na czerwonym tle wielki czarny napis DYLAN z dużą kropką przedzielony na dwa rzędy, znacznie mniejsze białe PL oraz już bardzo małymi literami świetny i zaskakujący tytuł albumu: *Niepotrzebna pogodynka, żeby znać kierunek wiatru*.

Gdyby ktoś spróbował przełożyć Szekspira ściśle i dokładnie pentametrem jambicznym, to, obawiam się, powstałaby wersja raczej trudna w czytaniu. Zastąpienie oryginalnej miary jedenastozgłoskowcem jest czymś przyjętym i estetycznie skutecznym. Czy zatem tłumacze piosenek do czytania nie ryzykują przynajmniej czasem zbyt wiele, trzymając się wyjściowej prozodii?

Porównajmy dwa polskie fragmenty *Blowin' in the wind*. Najpierw Łobodziński:

Jak wiele dróg człowiek wciąż musi przejść
by człowiekiem mienić się mógł?
I jak wiele mórz gołąb przebyć ma wszcz

by piasek znów poczuć moc?
I jak wiele musi wciąż wystrzelić kul
by mógł zamilknąć ich huk?
Odpowiedź, mój bracie, unosi wiatr
odpowiedź unosi wiatr.

I wersja Wojciecha Manna:

Ile dróg musi człowiek przejść,
Zanim nazwiesz go człowiekiem?
A ile mórz musi przebyć biały gołąb,
Zanim zaśnie na piasku?
A ile pocisków armatnich trzeba wystrzelić,
Zanim na zawsze nie zostaną zakazane?
Odpowiedź, przyjacielu, niesie wiatr,
Odpowiedź zna wiatr.

No i które tłumaczenie lepiej (nie mówię: łatwiej) się czyta? Jasne, Manna nie da się zaśpiewać, nie ma tam też rymów – ale czy ten surowy, nieledwie filologiczny przekład nie zyskuje na poetyckiej zwartości? I czy przypadkiem, jasny gwint, właśnie ta wersja nie mówi więcej o Dylanie poecie? No tak, ale wyjdzie na to, że namawiam Łobodzińskiego do dubeltowej translatorskiej roboty: raz do śpiewania, drugi do lektury. Owszem, wolałbym czasami czytać innego Dylana, co nie oznacza przecież, że kwestionuję wartość przekładów Łobodzińskiego. Ani trochę. *Raj duszny* (1513) Biernata z Lublina uchodzi za pierwszą polską drukowaną książkę. Inny przełom przypadł w udziale tomowi *Duszny kraj*, dziełu po raz pierwszy tak konsekwentnie i z rozmachem przyswajającemu Dylana kulturze polskiej.